NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 5 Katowice, 7-go lutego 1932

Na niedzielę Zapustną.

Ewangelja

zapisana u św. Łukasza, rozdz. 18, w. 31—43.

W on czas: Zebrawszy Dwunastu, mówił Jezus do nich: Oto idziemy do Jerozolimy, a na Synu człowieczym spełni się wszystko, co napisali procy. Będzie bowiem wydany w ręce pogan; będzie zelżony i ubiczowany i oplwany, a po ubiczowaniu zabiją Go; ale dnia trzeciego zmartwychwstanie. Oni jednak nic z tego nie zrozumieli i rzecz ta była przed nimi zakrytą ;ine pojęli też tego, o czem mówiono.

A gdy się zbliżał do Jerycha, jakiś ślepy siedział przy drodze i żebrał. A słysząc przechodzącą rzeszę, zapytał, coby to było. I odpowiedziano mu, że Jezus z Nazaretu przechodzi. Zawołał tedy, mówiąc: Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną. A ci, co szli na przedzie, grozili mu, by zamilkł; ale on jeszcze natarczywiej wołał: Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną! Jezus, więc przystanął i kazał go do Siebie przyprowadzić; a gdy się przybliżył, zapytał go, mówiąc: Co chcesz, bym ci uczynił? On zaś powiedział: Panie, abym przejrzał! A Jezus rzekł do niego: Przejrzyj, wiara twoja uzdrowiła cię! I natychmiast przejrzał, i szedł za Nim, wielbiąc Boga. Wszystek zaś lud, widząc to, oddał chwałę Bogu.

Nauka.

Ciężki spotkał apostołów zarzut w dzisiejszej ewangelji św.! Pan Jezus, chcąc uczniów Swoich przygotować na najsmutniejszą chwilę życia Swego ziemskiego, na mękę Swoją i śmierć, naprzód ją przepowiada i szczegółowo opisuje. I jeżeli przepowiednia strasznej męki i śmierci wywołać jest zdolna w duszach apostołów i lęk i zgrozę, to zapowiedź zmartwychwstania ma ich pocieszyć, dodać im otuchy i wzmocnić ich wiarę w boskie posłannictwo ich mistrza i nauczyciela.

Trzecia ta już z rzędu przepowiednia Zbawiciela o przyszłej męce i śmierci jest dowodem, jak pilnie zabiega Pan Jezus o to, by uczniowie jego byli przygotowani na to, co Go spotkać miało na ziemi. Powołaniem się na proroków Starego Zakonu chce dla apostołów uczynić zrozumiałem poniżenie Swoje, wytłumaczyć im życie Swoje ofiarne i pełne cierpienia, im, którym się to wszystko dziwnem wydawało, których wiara była jeszcze słaba i chwiejna.

Lecz mimo tłumaczenia i ustawicznego przygotowywania, którego Pan Jezus im nie szczędził, apostołowie nie pojmowali, nie rozumieli! Słowa Zbawiciela **„zakryte były przed nimi i nie rozumieli, co się mówiło!“** A ponieważ nie pojęli przepowiedni, pogrążeni jeszcze, mimo obcowania z Chrystusem, w interesach i widokach swoich doczesnych, doszło później do tego, że sromotnie opuścili Mistrza swego, kiedy wypełniać się poczęło proroctwo Jego w Ogrodzie Oliwnym!

Przyjrzyjmy się sobie i życiu własnemu! Czyż nie jesteśmy podobni apostołom nie rozumiejącym Jezusa, jego nauki i przepowiedni? W zastępstwie Chrystusa przepowiada i nam Kościół św. przyszłość naszą, tłumaczy nam znaczenie i cel życia naszego na ziemi! Nawołuje nas do życia wedle przykazań Bożych! Objaśnia nam nieraz, nie po trzykroć, ale niezliczone razy prawdy wiary! Lecz my patrzymy mimo to na wszystko, co się wokoło nas dzieje lub co nas spotyka, bez wiary! Bo chcielibyśmy biednym słabym rozumem swoim wprzód pojąć, aby uwierzyć! Dlatego taka słaba jest wiara nasza w święte tajemnice religji naszej, taka obojętność wobec Boga utajonego w Sakramencie Ołtarza, wobec wcielenia Bożego na ziemi! Nie pojmujemy praw Bożych, rządzących światem i oburzamy się na pozorny nieporządek, na niesprawiedliwość panującą wśród ludzi, nie umiejąc ich pogodzić z opatrznością i sprawiedliwością Bożą!

Koniecznem było życie i śmierć Zbawiciela, choć niezrozumiałe to były rzeczy dla apostołów. Tak koniecznych i zgodnych z wolą Bożą wiele jest rzeczy nam dziś niezrozumiałych. Uczniowie Chrystusa po Zmartwychwstaniu i Zesłaniu Ducha św. zrozumieli wszystko! Tak i my przejrzymy kiedyś tajemnice Boże, uznamy Jego sprawiedliwość i sławić i wielbić ją będziemy! Amen.

Na tamtej stronie.

(Rozważania popielcowe.)

Śmierć zrówna wszystkie stany społeczeństwa ludzkiego. Nie pozostanie z nas nic innego jak tylko trochę pyłu i zbutwiałych kości.

Czemże wielki tego świata po śmierci różni się od ubogiego prostaczka?

Czy rozumiesz, dlaczego kapłan posypując głowy wiernych popiołem mówi:

„Pamiętaj człowiecze ,iżeś jest proch i w proch się obrócisz“?

Na tej ziemi jesteś tylko jako pielgrzym i jako gość.

Kiedy więc zobaczysz pogrzeb, pomnij, że i ty pójdziesz tą drogą.

Zachowaj serce wolne i wzniesione ku Bogu, albowiem niemasz tu dla ciebie „miasta trwałego“. „Przyszłego miasta“ t. zn. przyszłego życia szukajmy.

Tam więc zwracaj codziennie modlitwę. Póki masz czas, gromadź sobie bogactwa nieśmiertelne.

We wszystkiem zatem patrz na koniec i pomnij w jakiej postaci stanąć ci przyjdzie przed Sędzią, któremu nic nie jest ukryte; którego ani darami ująć ani wymówkami zwieść nie będzie można, którego wyrok samą będzie sprawiedliwością.

Czy zdrajca?

(Obrazek z prawdziwego zdarzenia.)

Na przedmieściu dumnej, bogatej stolicy, opasanej modrą wstęgą poważnie płynącej rzeki, panuje dniem i nocą ruch niezwykły, gorączkowy.

Zgrzyt kół maszynowych, bicie młotów, syk pił i pilników, chrzest żelaza, nawoływanie pracujących robotników łączy się w jeden dziwny, smętny akord tej nowoczesnej muzyki, której wielkim twórcą... kapitał, instrumentem praca, a klawiszami... okopceni robotnicy w wyszarzanych bluzach niebieskich, o bladej twarzy, i ciężkiej, wysiłkiem pracy, zmordowanej dłoni.

Gdzie spojrzysz, wszędzie dymy kłębią się z kominów, maszyny pracują, robotnicy biegają jak opętani. Tylko jeden gmach duży, pusty i zamknięty. Ogień nie krasi szyb okopconych, podwórzec bezludny, a duży komin, sięgający obłoków, jak żóraw na czatach, spogląda nieczynny na współbraci, urągając im bezrobociem.

Co zajść mogło takiego, że ten jeden przybytek ciężkiej walki o kęs chleba stoi dziś pusty i bezczynny?

Żywej duszy nie ujrzysz przed hamernią, hałas okoliczny poplątanem echem odbija o szare jej mury — a zdala tylko dochodzą uszu smętne, jakieś pienia.

Tam, w górze za potokiem, rozrzucono szereg robotniczych szałasów, zapadłych w ziemię, o jednej izbie, w której cała rodzina pędzi żywot doczesny.

Przed jednym z tych ubogich domków zebrała się spora gromada ludzi, aby oddać ostatnią posługę koledze-robotnikowi, przyjacielowi, który życiem przypłacił czyn, którego się podjął, zniewolony nędzą rodziny swojej i kamratów. Młodzi z pomiędzy kolegów nazwali go zdrajcą.

Historja jego zarówno krótka — jak i smutna.

Tydzień temu niespełna pan dyrektor i pełnomocnik „akcyjnego towarzystwa wyrobów żelaznych" zwołał wszystkich robotników do kantoru i oznajmił uroczyście, że rada nadzorcza, wobec konkurencji i złych interesów, postanowiła zmniejszyć dzienną płacę o 25 proc., a przedłużyć czas roboczy na 12 godzin dziennie.

Jest to postanowienie stanowcze i nieodwołalne — oznajmił wszechwładny pan dyrektor, Bawar z pochodzenia.

Cios ten tak szybko uderzył i niespodziewanie, że robotnicy wysłuchawszy wyroku, nie rzekli ani słowa i zwolna, jeden po drugim opuścili kantor fabryczny.

Wieczorem zebrali się na naradę i postanowili jednogłośnie na wniosek biednych ojców rodziny zgodzić się na dłuższą pracę dzienną, — zniżenie jednak płacy odrzucili stanowczo.

Uradzili w końcu porozumieć się z zarządem fabrycznym, a posłannictwo to trudne włożyli na barki wiekiem najstarszego kolegi Grzegorza, tkóry tak wśród druhów jak i u dyrektorów penem cieszył się zaufaniem.

Rokowania do żadnego nie doprowadziły rezultatu. Pan dyrektor miał „prawo" za sobą, gdyż miał siłę — płacił, więc mógł rozkazywać, — robotnik — na drugiej szali, — stanowiącej o równowadze społecznej, przynosił „obowiązek" — winien słuchać i... na tem koniec.

Ogłoszono bezrobocie.

Pan dyrektor zżymał się, groził, że powyrzuca z mieszkania, zatrzymał ostatnią należną już płacę, ale na razie nic nie pomogło. Fabryka tydzień stała bezczynna, maszyny rdzewieć poczęły, ogniska pogasły.

Zapasy domowe w chudych spiżarniach robotniczych zmniejszały się z dniem każdym — aż nareszcie przyszła chwila, że dziatwa głodna o chleb wołać zaczęła, a mroźna śnieżyca biła w szyby nieogrzanych domków — zarząd nie chciał wydawać, a kupić nie było za co.

Nareszcie skruszony nieco pan dyrektor wezwał rzecznika Grzegorza, i oznajmił, że na własną odpowiedzialność z żądań rady nadzorczej 5 proc. ustępuje.

Wiadomość ta wywołała burzę. Starsi, głodni i zziębnięci postanowili powrócić do pracy — młodzież zapalona... nazwała ich zdrajcami i miejsce obrad opuściła z hałasem i przekleństwami.

Proszono znów kolegę, aby postanowienie poniósł do zarządu. Ten wahał się, odmawiał, tłumaczył, że nie wszyscy się godzą na to — ale głód i żona zwyciężyły.

— Człowieku — mówiła do niego, zanosząc się od płaczu małżonka — patrz na dzieci, którym życie dałeś; czemuż one nędzę mają cierpieć? Jeśli oni winni, to Bóg im to na sądzie właściwą odpłaci karą. Ty idź do kuźni, pracuj i daj choć kęs chleba tym dzieciom, które nic ci nie winne, abyć je głodem morzył i zabijał niedostatkiem.

Starzec przetarł czoło, rozpaczliwem okiem spojrzał na płaczącą dziatwę, porwał się ze stołka i pobiegł do kantoru. Nazajutrz niewielka gromadka starszych robotników gromadziła się przed wrotami fabryki — czekała przybycia dyrektora i swego rzecznika-opiekuna, starego Grzegorza.

Tymczasem pod dachem Grzegorzowej chaty straszny rozgrywał się dramat.

Na stołku pod piecem tuliła dziecię do piersi zanosząca się od płaczu Grzegorzowa.

On, włosy rwał sobie z głowy, biegał jak szalony po izbie i oddechu nie mogąc uchwycić, urywane wyrazy rzucał w twarz zbolałej kobiecie.

— Zdrajca mnie nazwali... pół wieku uczciwie żyłem, żadna plama nie ciąży na mem sumieniu — aż nareszcie dzisiaj na te siwe włosy spada klątwa kolegów — klątwa tych, którzy mi zaufali, których rzeczywiście zdradziłem. Kobieto, coś ty zrobiła, — do jakiego czynu ty mnie namówiłaś. Imię skalane zostawię tym dzieciom — toć lepiej zamorzyć je było głodem .. Nie, ja tego nie przeżyję.

Jakieś ciężkie westchnienie wydobyło mu się z piersi, twarz skrzywiła kurczowo, jak zwierz rozszalały zgrzytnął zębami — i raptem chwycił się za serce, potoczył się ku ścianie.

Jeden jęk głuchy — straszny — i stary Grzegorz runął martwy na ziemię... — Serce mu pękło.

Fabryka dymi dalej jak dymiła — starzy i młodzi powrócili do pracy.

Zgrzyt kół maszynowych, bicie młotów, syk pił i pilników w miarowem jak dawniej tempie wiąże się w dziwny, smętny akord tej nowoczesnej muzyki.

Nad grobem Grzegorza krzyż czarny rozwiera ramiona.

— Poczciwy był ten Grzegorz... zdradził bo zdradził... ale zanadto znowu wziął sobie to do serca... — tak mówią młodzi.

— A starzy?... Ci milczą, cicha łza zasyczy nieraz na rozpalonem żelazie — kują dalej... Wiedzą, że ich rodziny chcą jeść, że dla serca ojca strasznie bolesną jest rzeczą, patrzeć na głodne dzieci. Więc kują dla chleba rodzin.

Srebrna kolebka.

„Kołysz mi się, kołysz,
Kolebeczko z łyka,
Na gościńcu tuman,
W polu gra muzyka.
Ej! grają ci, grają,
Złociste trębacze...
Moje dziecię biedne
Z zimna — głodu płacze.

W małym domku nad Wisłą, uboga kobieta ze łzami w oczach śpiewała nad kolebką dzieciny. Wielki smutek znać było w jej twarzy. I nie dziw. Mąż jej, ustawicznie zajęty przy królu Jagielle służbą wojenną, już od pół roku poległ w bitwie z Krzyżakami a źli ludzie podstępnemi plotkami odebrali jej łaskę i wsparcie królewskie. Biedna Marta walczyła z głodem i zimnem.

Kołysze dziecię swe, chłopaka jedynego, śpiewa mu, a łzy płyną po licu.

W tem otwarły się drzwi. Weszła Temka, stara Litwinka. Była ona piastunką księżniczki Zofji na Litwie, gdy się u wuja swego Witołda wychowywała, bo sierotą wcześnie została. A teraz jest Temka w Krakowie, bo król Jagiełło ożenił się z jej wychowanką. A królowa dobra i szlachetna o piastunce nie zapomniała i wzięła ją z sobą.

— Marto! — rzekła Temka z ruska — przyjdźcież dziś wieczorem do zamku. Królowa pani ma do was prośbę.

— Nie wiecie, co takiego?

— Zdaje mi się, że chce was prosić, byście przez święta Bożego Narodzenia zostali we dworze przy królewiczu Władysławie.

— Jakto? alboż królestwo wyjadą?

— Jadą na Litwę, do księcia Witołda, chcą go na chrzciny zaprosić. On gniewa się jeszcze zawsze o to, że król Jagiełło nie oddzielił Litwy od Polski, a zaś nasza królowa radaby zgodę zaprowadzić. Uradzili więc królestwo, że na chrzciny Władka zaproszą Witołda — może się już raz na zawsze pogodzą.

Zapłakało dziecię w kolebce — Marta je chwyciła na ręce, a Temka pożegnawszy ją, wróciła do zamku.

* * *

Wieczór, do komnaty królowej Zofji (czwartej żony Jagiełły) weszła Marta. Stanęła nieśmiało u progu, a łzy potoczyły się z ócz.

Królewicz spał w ślicznej srebrnej kolebce i uśmiechał się przez sen do aniołów, królowa nad nim pochylona, piękna i młoda, bo Jagiełło był od niej o 50 lat starszym, nie wiedziała, że Marta jej się przypatruje. Dopiero po chwili usłyszawszy płacz cichy, obróciła się.

— A! Marto — dobrze, żeście przyszli, zostaniecie z Temką przy królewiczu, dopóki nie wrócimy. Czego płaczesz?

Marta długo słowa przemówić nie mogła, wreszcie rzekła:

— Najjaśniejsza królowo! Patrzę na tego królewicza w srebrnej kolebce i myślę sobie, jakie też to szczęśliwe dziecko... Pewno mu życie pójdzie samemi kwiatami i cierpień nie zazna...

— Któż wie, co kogo czeka w życiu? — odrzekła królowa Zofja, (Sonką po litewsku zwana) — czasem ten, co się w kolebce z łyka wychowa, więcej szczęścia znajdzie jak ten, co się w srebrnej kolebce kołysał.

— Królewiczu cudowny! — składając ręce szeptała Marta — któż ci taki cud przysłał. Byłam tu przecie piastunką przy księżniczce Jadwidze, tej sierotce, co po drugiej żonie naszego króla została, a co król dla pamięci świętej naszej Jadwigą nazwał, ale tej kolebki nie było.

— To mój wuj Witołd, książe litewski przysłał naszemu Władkowi, — szepnęła królowa niby smutnie, bo Witołda charakter nie był czysty — posądzano go więc, że ten podarek bogaty przysłał w jakimś celu zdradliwym, aby serce króla pozyskać.

— Srebrna kolebka! — mówiła Marta dalej, uklęknąwszy przy dziecku, — a mój mały w łykowej, w zimnej izbie płacze, biedna sierota.

— Nie wiemy, jaka dola nasza, — rzekła Zofja — kto wie, gdy za parę lat — za lat kilkanaście zejdziemy się, która z nas szczęścia dziecku będzie zazdrościć.

* * *

Było to przed samem Bożem Narodzeniem roku 1424. W 20 lat potem, to jest w roku 1444 król polski Władysław III, ów, który w srebrnej kolebce kołysał się, zginął pod Warną w bitwie z Turkami, a syn Marty, dzielny i piękny rycerz odznaczył się walecznością. Gdy zaś potem za króla Kazimierza Jagiellończyka — drugiego syna Jagiełły, syn Marty został znacznym urzędnikiem przy królu — siwą matkę troskliwie pielęgnował i cieszył ją każdym czynem — królowa Zofja, pokazując na kolebkę srebrną rzekła do Marty:

— Widzisz Marto!... Nie na tem szczęście i nie na tem przyszłość nasza zależy, czy się w srebrnej lub łykowej kolebce dziecię chowa, lecz na tem — aby żyć wedle przykazań Bożych. Mój syn ukochany — za namową złych ludzi złamał przysięgę daną, że nie będzie wojny wywoływał — i za to zginął pod Warną. — Twój szedł drogą mniej trudną — cichą, a spokojną więc dziś jest szczęśliwy i tobie pociechą.

— Nie zazdrośćmy drugiemu położenia i dostatku. Zaprawdę dziecie królewskie więcej ma do cierpienia jak dziecię ubogich rodziców. I na srebrną kolebkę królewicza tak samo powinny padać łzy matki, proszącej Boga o drogę szlachetnego życia dla dziecka jak i nad kolebką z desek sosnowych lub z łyka.

Nie na tem szczęście, nie na tem,
Ażeby być bogatym.

Z wystawy przeciwalkoholowej!

(Charakterystyczne obliczenie.)

Kto nie wierzy niech liczy!!!

Przy wypłacie tygodniowej wstępujesz z kolegami na kieliszek.

Jest was trzech — czterech. Każdy narzeka na ciężkie czasy i stawia kolejkę: wódeczka, zakąska i piwko — razem 4—5 złotych. Miesięcznie było nie było 20 złotych.

Czyś pomyślał, że czasy nie byłyby dla Ciebie

tak ciężkie, gdybyś składał te 20 złotych miesięcznie nie w szynku, a na książeczkę oszczędnościową.

Kto przepija lub przepala tygodniowo 5 zł., przepija przy 7% za lat: 5 — 1423 zł., 10 — 3450 zł., 15 — 6260 zł., 20 — 10.210 zł., 30 — 23.550 zł.

Z temi pieniędzmi możnaby i w ciężkich czasach jako tako wytrzymać. Prawda?

Zamiast wydać na „jednego" — złóż pieniądze na książeczkę oszczędnościową.

Pozbędziesz się narzekań na ciężkie czasy; a wzamian za kłótnie i swary w domu o zmarnowane pieniądze, uzyskasz spokój i pewność, że gdy przyjdzie naprawdę zła dola, będziesz miał czem ją zwalczać.

Kto przepala dziennie tylko 20 gr., przepala za rok 73 zł., czyli 3 pary dobrych butów.

Kto pije dziennie 1 litr piwa, wypróżnia w przeciągu 20 lat 36 beczek po 200 litrów.

„Przez trzeźwość do odbudowy gospodarczej" Hasło „Tygodnia Propagandy Trzeźwości" 1932 r.

Ostatni bal.

Obrazek z czasów powstania w 1863-64 roku przez Jadwigę z Z. Strokową.

— Ostatni bal!...

— W Płocku bal ostatni... w Płocku? — pyta Karasiński, lekarz pułku, który ma najwięcej rannych — czyż tańczyć będziecie, gdy jeszcze pola dymią nie zastygłą krwią braci, gdy jeszcze echa dzwonią muzyką armat... wy bal urządzacie? wy?..

Lecz dama podająca zaproszenia, stoi spokojna choć blada i na lekarza spogląda dość życzliwie.

— Nie!... ja zaproszenia nie przyjmę, nie! ja zrozumieć nie mogę, w jakim celu panie te kwestę urządzacie. Chodząc z zaproszeniami, narażacie się, bardzo się narażacie, bal, teraz... bal, gdy ranni leżą... żołnierze płaszczów nie mają...

— W resurcie, dziś w ostatni wtorek, ostatni bal... — dorzuca młoda dama i wychodzi ze swą towarzyszką.

Karasiński jest oburzony. Powiada więc do porucznika...

— Pójdę! ażeby tańczącym rzucić przed oczy skrwawioną sukmanę tego chłopczyny, który pięć kul otrzymał, gdy biegł po wodę dla rannego ojca. Tak! rzucę tę sukmanę pod nogi tańczących i powiem: „Depcie w szalonym wirze po śladach krwi ofiar za wolność..."

Lecz porucznik nie oburza się wraz z doktorem.

Pyta tylko spokojnie:

— Pan w Augustowskiem nie słyszał o naszych tegorocznych balach w Płocku?

— Czyżbyś i poruczniku uczęszczał?...

— Tak.

— I tych balów było więcej?

— Tak... Dziś ostatni bal...

Doktor Karasiński zagryzł wargi, nie odpowiadając ni słowem.

Wieczorem chmurny i gniewny idzie na bal.

Przed resursę zajeżdżają pojazdy, z nich wysiadają damy, pospieszając do wnętrza.

Wstęp na bal dość kosztowny.

Karasiński spojrzał... w sali resudsy tłok. Wchodzi.

Na środku rozstawione stoły, a przy nich dookoła siedzą Polki.

— Czyliż to uczta? Jakież nakrycia? Co za dania?

— To ostatni bal w Płocku. Polki szarpie szkubią dla rannych. Dochód z balu na broń i mundury...

Karasiński cofa się wstecz.

— Poruczniku! — szepce do towarzysza... — Ten bal nie jeden raz powinniśmy przypomnieć Polkom. . .

Rannych w obozach nie mamy, szarpi skubać nie trzeba, a jednak wiele, ogromnie wiele mamy ran do zagojenia....

Ostatni bal!

A potem?...

Dziesięć przykazań życia.

Jefferson, prezydent Zjednoczonych Stanów Ameryki w liście do swego przyjaciela pisanym, podaje mu następujące prawidła życia, których sam, jak się wyraża, najściślej zawsze trzymać się usiłował:

1. Nie odkładaj na jutro, co możesz zrobić dzisiaj.
2. Nie proś o to drugich, co sam zrobić potrafisz.
3. Nie wydawaj pieniędzy pierwej, nim je mieć będziesz.
4. Nie kupuj nic, czego nie potrzebujesz, dla tego, że tanio.
5. Duma kosztuje nas więcej, niż głód, pragnienie i zimna.
6. Nikt nigdy nie żałował, że mało jadł i mało mówił.
7. Nic nie jest przykre, co z chęcią czynimy.
8. Najwięcej cierpień naszych pochodzi z obawy nieszczęść, które się nigdy nie zdarzą.
9. Wszystkie rzeczy bierz z gładkiego końca, ludzi z dobrej strony.
10. Gdy się czujesz w gniewie, przelicz w myśli dziesięć wprzód, nim mówić zaczniesz, w pasji przelicz sto.

Złote myśli.

Do trzeźwości wiedzie tylko trud zbiorowy i wytrwały.

Trzeźwość jest elementarnym postulatem zdrowia i tężyzny Narodu, a zarazem imperatywem etyki katolickiej. **† August Kardynał Hlond.**

* * *

Czas najwyższy zrozumieć, że kwestja pijaństwa wnika we wszystkie nasze stosunki społeczne, gospodarcze, zdrowotne i moralne i że walka z wódką i pijaństwem może się przyczynić do odrodzenia i odnowienia całego Narodu Polskiego w Chrystusie. **Ks. Biskup Bandurski.**

* * *

Przyjaźni, zdrowia sobie przy kuflu życzymy, a bodaj że to i przy kuflu tracimy.

Kochanowski.

* * *

Polacy pokutowali nie tylko za winy przodków, ale i za wina przodków. **J. Ejsmond.**

* * *

Wódka zabija nie tyle ciało — co ducha.. Kto walczy z alkoholizmem, ten walczy o szczęście dzieci. **W. Pełczyński.**